

MAREK
KRAJEWSKI

Festung Breslau



Marek Krajewski (ur. 1966)

najgłośniejszy dziś polski autor kryminałów.
Z zawodu filolog klasyczny, wykładowca
Uniwersytetu Wrocławskiego.

W 1999 roku zadebiutował *Śmiercią w Breslau*,
pierwszą z serii powieści z Eberhardem
Mockiem, których akcja rozgrywa się
w dawnym Wrocławiu. Kolejne, *Koniec świata
w Breslau* (W.A.B. 2003) i *Widma w mieście
Breslau* (W.A.B. 2005), spotkały się
z doskonałym przyjęciem czytelników i krytyki;
Festung Breslau to ostatnia część cyklu.

Marek Krajewski jest laureatem Paszportu
„Polityki” za rok 2005, Nagrody Księgarzy
„Witryna” za najlepszą książkę roku 2005
oraz Nagrody Wielkiego Kalibru dla najlepszej
powieści kryminalnej roku 2003.

Śmierć w Breslau i *Koniec świata w Breslau*
opublikowane zostały w przekładzie na język
niemiecki, w przygotowaniu jest niemiecka
i holenderska edycja całego cyklu;

Koniec świata w Breslau ukaże się ponadto
w Rosji i na Litwie. W 2007 roku powstanie
film fabularny oraz dwunastoodcinkowy serial
o przygodach Eberharda Mocka
w reżyserii Patryka Vegi.





MRO CZNA
SERIA

MAREK

KRAJEWSKI

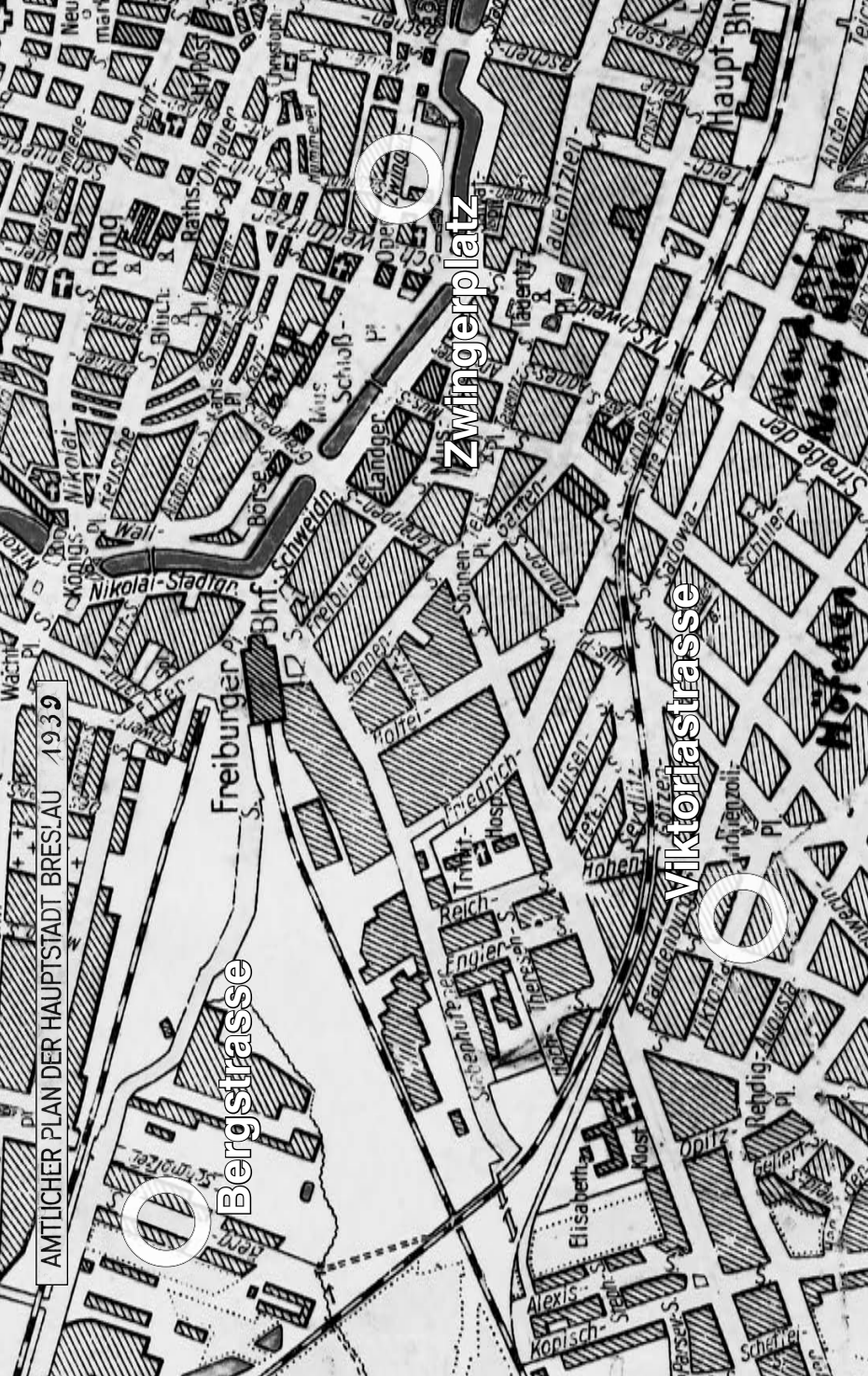
Festung
Breslau

AMTLICHER PLAN DER HAUPTSTADT BRESLAU 1939

Bergstrasse

Zwingerplatz

Viktoriastrasse



*Wiedeń, wtorek 23 marca 1954 roku,
druga po południu*

Walter Kridl, recepcjonista w wiedeńskim hotelu „Kärntnerhof”, pobrzękiwał nerwowo kluczami i nieufnie obserwował starego mężczyznę, który opadł ciężko na stojący w holu fotel i wachlowaniem kapelusza osuszał czoło z potu, jaki wycisnął z niego ciepły wiosenny dzień. Recepcjonista Kridl nie darzył zaufaniem klientów, którzy swą przesadną elegancją, błyskiem sygnetów i spinek oraz przyklepionymi do głowy i często przyczesywanymi pasemkami włosów przypominali mu przemytników, gangsterów lub agentów tajnych służb, zbijających fortuny na styku stref okupacyjnych w naddunajskiej metropolii. Ludzie ci gęstymi brodami i wielkimi okularami przeciwsłonecznymi usiłowali ukryć dawną – nierzadko hitlerowską – tożsamość, a sprowadzaniem do pokoiw nastoletnich prostytutek – swą starczą niemoc. Oto jeden z nich rozwala szeroko giry, myślał z niechęcią Kridl, patrząc na starego mężczyznę, zaraz zacznie postukiwać papierosem o papierośnicę, której budulcem są pewnie złote żydowskie zęby, będzie dmuchał wokół wonnym dymem i strzeli palcami na recepcjonistę, żądając „panienki o pełnych kształtach”. Mężczyzna nie zachowywał się jednak zgodnie z przypuszczeniami recepcjonisty – nie tylko niczego nie żądał, lecz nawet papierosa nie zapalił, a jego szorstka, szczeciniasta broda oraz

ogromne czarne okulary ukrywały nie wstydliwą przeszłość, lecz białoczerwone blizny po oparzeniach – a może, nie ustępował w myślach Kridl, i jedno, i drugie. Reszta – sygnet, złota bransoleta, buty błyszczące jak lustro, niemieczna o dziwnej, nieznanej Kridlowi melodii – niepokoiła i pasowała do stereotypu grubej ryby z wiedeńskiego półświatka, która wpłynęła tutaj, w mętłą wodę czterech mocarstw, by robić ciemne geszefty.

Ludzie, którzy pojawili się na schodach, również niepokoił recepcjonistę. Ujrzał ich po raz pierwszy wczoraj – czterech młodych mężczyzn, którzy wtargnęli do holu z pijakiem w naciągniętym na oczy kapeluszu. Rzucili go wtedy na ten sam fotel, na którym teraz rozpiekał się starzec z poparzoną twarzą, i przypomnieli Kridlowi o rezerwacji dokonanej kilka dni temu przez Polizeidirektion. Recepcjonista o nic wtedy nie pytał, rzucił jedynie okiem na legitymację policyjną, wydaną na nazwisko Jörg Hanuschek, wydał właścicielowi legitymacji klucze do pokoju numer pięć, szybko schował do kieszeni rzucony mu banknot dwudziestoszylingowy i patrzył, jak szpice butów pijaka stukają o kolejne stopnie schodów, a przyciasne marynarki agentów policyjnych nieomal pękają na ich potężnych plecach. Po chwili uruchomił wciąż sprawny system podsłuchowy, zamontowany tu przez gestapo wkrótce po radosnym włączeniu Austrii do Tysiącletniej Rzeszy, pokrętko ustawił na piątce i przyłożył rozpalone z ciekawości ucho do starej tuby. Niestety – dźwięki z pokoju rozczarowały Kridla. Przez dwadzieścia cztery godziny tuba przekazywała jedynie szuranie butów po podłodze i szum wodospadu spłukującego klozet. W pokoju numer pięć nikt przez dobę nie wypowiedział ani jednego słowa.

Teraz również dwaj mieszkańcy pokoju numer pięć i starzec, który wstał z fotela na ich widok, nie wypowiedzieli ani słowa. Stary zdjął na sekundę okulary i Kridl

zobaczył wylupiaste przekrwione oczy w pełnych blizn oczodołach. Na agentach – w odróżnieniu od recepcjonisty – nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Kiwnęli głowami i pokazali leciwemu elegantowi drogę na schody. Kiedy zniknęli w korytarzu, Kridl przekręcił gałkę na cyfrę „pięć” i przyłożył ucho do tuby. Podkręcił głośność i skoncentrował się. Znow zapłonęło mu ucho. Nie z ciekawości jednak, lecz od silnego uderzenia, które zrzuciło go z krzesła. Drobne ciało Kridla zawirowało w ciasnej przestrzeni dyżurki, a jego buty załomotały o drewniane ściany.

– Nieładnie, nieładnie tak podsłuchiwać – mruknął wysoki człowiek w kapeluszu i pochylił się nad Kridlem. Następny i ostatni cios, zadany w drugie ucho, pozbawił recepcjonistę zmysłu słuchu. Leżał wciąż na podłodze, język wychodził mu z ust, a oczy z orbit.

Człowiek w kapeluszu postawił obok tuby podsłuchu przedmiot wyglądający jak małe radio tranzystorowe. Włączył je, podniósł deskę lady oddzielającą recepcję od holu i znalazł się na stanowisku pracy Kridla. Posadził go na krześle, płaskim uderzeniem dłoni nacisnął mu na czoło służbową czapkę, pochylił się nad nim i napisał na kartce: „Nie dotykaj tego, bo dostaniesz w ucho. Stoję za tobą”. Potem wszedł za kotarę, która oddzielała recepcję od zaplecza, wyjął identyczny przedmiot jak ten, który postawił obok tuby, przyłożył do niego mikrofon, który następnie podłączył do małego magnetofonu szpulowego wyjętego z kieszeni płaszcza. Kablem połączył drugie gniazdo magnetofonu z małą słuchawką, którą wcisnął do ucha. Zamienił się w słuch:

– ...zaświadczenie, że jesteśmy z Mossadu? Może mam panu dać jeszcze pieczętkę? A pan w zamian wylegitymuje mi się jako agent CIA...

- Niech pan nie ironizuje. Jeśli w człowieku, którego mi pan pokaże, rozpoznam zbrodniarza wojennego, a panowie nie są stąd, skąd mówią, lecz na przykład z Odessy, to co wtedy?

- Czy ja wyglądam na Niemca? Na esesmana? Jest pan starym człowiekiem i naszym gościem. Dlatego przełknę tę zniewagę. Wystarczy panu mój numer obozowy czy pokazać coś jeszcze?

- Tak, pokaż mi tego człowieka (*trzaśnięcie drzwiami*).

- Tu jest, siedzi na kiblu. Zdejmij mu maskę, Awram! (*szelest materiału*).

- Zna pan tego człowieka?

- (*chwila milczenia*) Nie, nie znam... Proszę mi powiedzieć, jaka jest jego przypuszczalna obecna tożsamość. To mi pomoże...

- Po co? Jeśli go pan nie rozpoznaje, to dziękujemy już panu, a tego człowieka puszczamy wolno.

- Nie wie pan, że w wypadku zbrodniarzy wojennych ofiara wypiera z pamięci wszystko...

- Pan był ofiarą? O ile wiem, to raczej pan rozkazywał (*z irytacją*). No już! Niech pan mu się jeszcze raz przyjrzy!

- Rozkazywać to ty sobie możesz swoim chłopakom na Pustyni Judzkiej! (*trzaśnięcie drzwiami*).

- Niech pan poczeka, kapitanie Mock! Uniosłem się... Nazywa się on Helmut Crestani i jest kupcem z Zurychu. Podejrzewamy, że naprawdę jest to Obergruppenführer SS Hans Gnerlich, zastępca komendanta w Gross Rosen, później komendant obozu pracy w Breslau...

- Nie, to na pewno nie jest Hans Gnerlich.

- Na pewno?

- Tak, z całą pewnością to nie on.

- (*po długiej chwili milczenia*) Dziękujemy, panie kapitanie. Do widzenia!

- Do widzenia!

- (*trzaśnięcie drzwiami*) Awram, napić go i po cichu podrzucić z powrotem do jego hotelu!

Starszy pan żwawo schodził po schodach. Walter Kridl, mając w uszach dźwięk katedralnych dzwonów, nawet na niego nie spojrział – ani wtedy, gdy zbliżał się do recepcji, ani nawet wtedy, gdy przekraczał jej próg. Nie podniósł wzroku, kiedy starszy pan w okularach i wysoki człowiek w kapeluszu opuszczali razem hol. Przez łoskot spiżu przedarł się cienki dźwięk – dzwonek u drzwi zabrzączał wysoko. Przedarło się również jedno zdanie wypowiedziane przez człowieka z poparzoną twarzą. Kridl nie był pewien, czy dobrze usłyszał, i kiedy tydzień później przesłuchiwała go policja, zastrzegął się dziesięć razy i skarżył na huk rozkołysanego spiżu, zanim powtórzył policjantom to, co zdawało mu się, że usłyszał z ust poparzonego mężczyzny. Zanim to jednak powiedział, bardzo długo rozwodził się nad tonem jego głosu, przepelnionym ulgą i radością, i kiedy wreszcie przesłuchujący go stracili cierpliwość, wyznał ze strachem, że stary wykrzyknął:

- Mamy go!

*Wrocław, wtorek 25 kwietnia 1950 roku,
dziewiąta rano*

Kapitan Waclaw Baniak opierał swe ciężkie ciało o okienne parapet, dmuchał z irytacją w zakurzone liście paprotki i patrzył tępo, jak drobiny pyłu wirują w słońcu. Potem zwrócił przekrwione od niewyspania oczy na zalaną słońcem ulicę Łąkową, gdzie stały trzy mercedesy – bezpieczne pod czujnym okiem dwóch wartowników w mundurach KBW. Na pustym placu, gdzie niegdyś „pyszniła się perła żydowskiej architektury” – jak się wyraził pewien współpracujący z Baniakiem autochton – czyli ogromna synagoga,

podpalona przez hitlerowców w Noc Kryształową, kilku chłopców zamiast siedzieć w szkole strzelało do siebie z drewnianych karabinów. Baniaka irytowały ich wrzaski, bo urągały powadze miejsca i instytucji, którą reprezentował. Jeśli już ktoś mógłby w tym miejscu krzyczeć, to na pewno nie ci smarkacze, lecz powinni wyc wrogowie władzy ludowej, którymi kapitan Baniak wypełniał kazamaty dawnej siedziby gestapo przy staromiejskiej fosie.

Myśl o synagodze i Żydach nie pomagała mu bynajmniej w leczeniu kaca, jaki sprowokował wczoraj w restauracji „U Fonsia” trzema setkami wódki i który utrwalił w swym apartamencie przy placu Powstańców Śląskich, w czym dzielnie sekundował mu jego szofer i dwie sprowadzone przez niego dworcowe dziewczyny. Żydzi kojarzyli mu się przede wszystkim ze zwierzchnikiem, majorem Antonim Fridmanem. To właśnie on wsadził dziś rano do gabinetu Baniaka swą długą głowę i polecił mu zająć się sprawą, której rozwiązanie przekraczało możliwości umysłowe i zdobycze edukacyjne Baniaka, te bowiem ograniczały się do szkoły podstawowej i dziewięciomiesięcznego kursu dla oficerów politycznych. Fridman, absolwent prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, lubił dręczyć Baniaka słowami, których ten nie rozumiał. Rzucając dziś na jego biurko akta pewnej sprawy, o której wyraził się, że „nie można jej odłożyć *ad Kalendas Graecas*”, wystawiał język z radości, a jego blisko osadzone oczy biegały jak kulki.

Baniak splunął w kąt pokoju i obcasem wtarł ślinę w wypastowane deski podłogi. Wiedział doskonale, że błyskotliwy awans zawdzięczał nie swej inteligencji czy skromnemu wykształceniu, lecz uporowi, pokorze i umiejętności trzymania języka za zębami. Nawet w największym upojeniu alkoholowym nie mówił o niczym innym niż o swoim ukochanym Uhowie nad Narwią, gdzie zaciągał dziewczyny do stodoły, za co dostawał od ojca po pysku, oraz o pew-

nej Maryni, która muskularnymi nogami ubijała kapustę w beczkach. Nade wszystko zaś wiedział, że świetlaną przyszłość otworzył przed nim stary frontowuszczyk, kapitan Anatolij Klemiato, który wypatrzył go wśród gorliwych białostockich milicjantów, pochwalił jego leśną przeszłość, uwieńczoną współpracą z partyzantką radziecką, osiągnięcia w sporcie i w strzelaniu, a potem skierował na zakończony maturą kurs dla politruków. Kapitanowi Klemiato odwdzieczył się Baniak bezwzględna walką z reakcją na Białostoczczyźnie, co jego dobroczyńca docenił, chwając przed swymi zwierzchnikami prostotę działań swojego pupila: „Wot Wacia Baniak, maładiec. Dla niewo każdyj, kto do wojny sdał egzamen na attiestat zrielosti, eto rieakcjonier”. Szczęście Baniaka w rodzinnych stronach trwało kilka lat, natomiast we wrocławskim UB, dokąd trafił za swym pryncypałem – szybko się skończyło. Kapitan Klemiato wyjechał do bratnich Niemiec, rządzonych przez towarzysza Ulbrichta, a na jego miejsce przybył major Fridman, który tylko czekał na okazję, aby pozbyć się niedouczzonego podwładnego i przyjąć na jego miejsce swego przyjaciela, dawnego towarzysza z KPP, Edwarda Marczuka. Teczka, którą teraz Baniak obracał w zrogowaciałych od pługa palcach, była w jego rozumieniu taką właśnie szykaną ze strony Fridmana, miała ona wykazać niekompetencję Baniaka i przygotować grunt do okazania serca Marczukowi.

Baniak po raz kolejny przejrzał zawartość teczki i po raz kolejny zmoczył podłogę gęstą śliną. Poza krótką notatką o znalezieniu zwłok i raportem medyka sądowego leżała tam zapisana ołówkiem kartka, której treść była kapitanowi nieznaną, mimo że sformułowano ją w języku, który wielokrotnie słyszał w kościółku w Uhowie, a mianowicie po łacinie. Czaszka pękała mu od myśli, że to kolejna zasadzka Fridmana. Widział już oczyma wyobraźni, jak major zaleca mu poszerzenie wiedzy ogólnej i szydzi z ignorancji przy

jego własnej sekretarce, pannie Jadzi Wesołowskiej, o której względu Baniak nadaremnie się ubiegał, podczas gdy Fridman zdobył je po kilku krótkotrwałych i stanowczych atakach, których precyzji mógłby mu pozazdrościć generał Władimir Głuzdowski – zdobywca twierdzy Wrocław.

Kapitan podszedł znów do okna, spojrzal na pusty plac po synagodze i przypomniał sobie ładną formułę autochtona („pyszniła się perła żydowskiej architektury”), której użył zresztą kiedyś na przyjęciu w prezydium Miejskiej Rady Narodowej, wywołując szydercze szepty majora Fridmana, sączone w kształtne uszka panny Jadzi. I nagle Baniaka olśniło. Przestały go irytować wrzaski dzieciarni, która klóciła się, kto ma w zabawie być „Niemcem”, a kto „Polakiem”. Trudny wyraz „autochton”, który w roku 1950 był we Wrocławiu na porządku dziennym i musiał natychmiast zostać przyswojony przez mniej światłych przedstawicieli nowej władzy, skierował myśli kapitana ku innemu urodzonemu we Wrocławiu pół-Niemcowi, którego nienawdził już tylko za to, że ten poprzedzał swoje nazwisko świeżo otrzymanym tytułem doktora.

Baniak splunął jeszcze raz, tym razem użyźniając ziemię w doniczce z paprotką, i otworzył drzwi do sekretariatu. Panna Jadzia poprawiła misterną fryzurę à la Ingrid Bergman i popatrzyła wyczekująco na swojego szefa. Lubił to spojrzenie pełne pokory i gotowości do działania. Rzucił krótko i szorstko:

– Wysłać dwóch ludzi po cywilnemu na Uniwersytet po Manfreda Hartnera. Mają go tu przyprowadzić. Jak najszybciej! I przynieść mi jego teczkę! Też jak najszybciej! No, ruszać się!

– Po doktora Manfreda Hartnera, tego doktora, który już kiedyś u nas był? – upewniła się panna Jadzia.

– To nie sanacja!!! – wrzasnęła. – Za sanacji to były doktory i profesory! Tera są wszyscy równi!

Ujrzał niepokój w oczach panny Jadzi. Wyszedł z sekretariatu, napawając się swoją władzą oraz myślą o mocarnych nogach Maryni.

*Wrocław, wtorek 25 kwietnia 1950 roku,
jedenasta przed południem*

Kapitan Baniak skończył czytać teczkę personalną Manfreda Hartnera, kiedy panna Jadzia poinformowała go o przybyciu tegoż. Baniak odpowiedział, że przyjmie go później, i wyszedł z gabinetu bezpośrednio na korytarz. Minawszy aresztantów popychanych przez prostych, szczerych chłopaków z mazowieckich wsi, zszedł na śniadanie do kantyny. Tam zjadł zupę pomidorową i plucka na kwaśno. Oba puste talerze wytarł dokładnie chlebem i dopiero teraz wypił szklankę herbaty i setkę wódki. Poczul, że kac odchodzi, udał się do swojego gabinetu, włączył radio i wysłuchał hejnału z wieży kościoła Mariackiego w Krakowie. Kroki chodzącego po wieży strażnika i kolejne frazy hejnału uspiły go i dopiero przebój Marii Koterbskiej *Mkną po szynach niebieskie tramwaje* wyrwał kapitana z płytkiego snu, podczas którego pływał w rozlewiskach Narwi. Po przebudzeniu zapiął mundur, przejechał po nim szczotką, zapiął mocno pas, nie przyjmując do wiadomości rosnącego brzucha, i otworzył drzwi do sekretariatu.

- Wejść - rzucił krótko do łysiejącego szatyna, który siedział na krześle i przeglądał notatki zapisane w nieznanym Baniakowi alfabecie.

Kapitan usiadł za biurkiem, a szatynowi wskazał jedyne krzesło w tym pomieszczeniu. Wyjął papierosnicę i przysunął ją swojemu rozmówcy do nosa. Kiedy ten odmówił, w Baniaku wezbrał gniew. Ten szwabski skurwysyn, pomyślał, gardzi moimi cygaretami.